



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

FRANCISZEK LISZT.

Po Napoleonie I żaden może meteor z tak olśniewającym blaskiem nie przebiegł po firmamencie Europy, jak zmarły świeżo Franciszek Liszt. Imię tego nieporównanego wirtuoza, którego cudotwórcze palce grały, już nie na instrumencie, lecz wprost na sercach i uczuciach słuchaczy, grzmiało niegdyś po wszystkich zakątkach naszego kontynentu, budząc wszędzie uwielbienie i zapal nieopisany. Śród ulew kwiatów i uraganu oklasków przebiegał ten czarodziej fortepianu z kraju do kraju, a wszędzie fenomenalną grą swoją zadziwiał, wstrząsał, zachwycił, porywał i unosił tłumy całe. Nie było owacy, nie było hołdów, którychby nieprównany ten mistrz, król, pan samowładny swego instrumentu, nie doznał od rozentuzymowanego ogółu: zasypywano go kwiatami i wieńcami, wyprzegano mu konie od powozu, zapraszano go, rozrywano, mężczyźni czcili go nieledwie, kobiety szalały za nim, uważano za szczęście dotknąć się jego ręki, rozrywano na drobne kawałeczki jego rękawiczki, chustki, struny zerwane—i przechowywano szczerzątki te jak relikwie. Niemielu też artystów doznało w życiu tylu, co on, zaszczytów od osób ukoronowanych i różnych instytucji publicznych. Uniwersytet królewski udzielił mu tytuł doktora filozofii *honoris causa*; cesarz austriacki obdarzył go orderem Korony Żelaznej; wielki książę wejmarski mianował go szambelanem i t. d. I nie dziwnego: Liszt bowiem był—jak słusznie zauważył jeden z krytyków, nieprześcignionym dotąd typem, nieledwie ideałem wirtuozowstwa. Nie było przed nim i po nim może nie będzie artysty, któryby tak wszech-

władnie zapanował nad fortepianem, tyle z niego wydobyć umiał i tak go zapośluszne narzędzie myśli swoich i uczuć używać potrafił. Środki techniczne posiadał niepojęte prawie. Kolosalna siła i wytrzymałość, mechanizm do bajecznych doprowadzony granic, precudowne dotknięcie, niesłychane pasaży, czarodziejsko szybkie oktawy, znakomita polifonia, a przytem pewne właściwe jemu tylko uderzenie, za pomocą którego wydobywał nieprzeczuwane przez nikogo efekta, —wszystko to pozwalało mu w najtrudniejszych momentach nie tracić ani iskierek zapалу i natchnienia, dawało *myśli* możność górowania w grze jego ponad środkami technicznymi, odbijało najwierniej każde drgnienie ognistej jego duszy, wyciskało na każdej rzeczy piętno jego artystycznej indywidualności i czyniło go twórcą nawet w interpretacji cudzego utworu. Liszt wraz z Szopenem pierwsi wykazali znaczenie fortepianu, dowiedli, co z niego wydobyć można, i do dzisiejszej podnieśli go popularności. „Jeżeli nasz rodak”—powiada jeden z krytyków, robiąc piękne porównanie—„głębokością pomysłów polotem natchnienia i duchową treścią góruje nad węgierskim wirtuozem, za to ten ostatni streszcza w sobie wybitniej wszystkie zdobycze na polu techniki, wszystkie efekta brzmienności, pieśczołliwości i potęgi. Szopen, potężniejszy geniuszem, stworzył istotnie „nowy świat” i słowem jego wiernym uczynił swój ulubiony instrument; kto chce jednak poznać ten instrument dokładnie i zobaczyć go w całej chwale, niech weźmie utwory Liszta i, jeśli mu mechanizm na to pozwala, niech ich efektów spróbuje; a przekona się, jak są bogate i różnorodne.”

Genialny ten i jedyny może w swoim rodzaju fortepianista urodził się dnia 22 Października 1811 roku, w małej wiosce Raiding, niedaleko miasta Oedenburga, na Węgrzech. Ojciec jego, Węgier, z zamiłowania muzyk i człowiek nader wykształcony, lecz z powodu liczego rodzeństwa

bardzo niezamożny, zajmował skromną posadę rachmistrza w dobrach księcia Esterhazy'ego. Matka, Niemka, z domu Laager, pochodziła z m. Krems. i—jak twierdzą szperacze—biografowie, była znakomitą gospodynią. Rodzina cała odznaczała się głęboką wiarą i silnem przywiązaniem do katolicyzmu, co, naturalnie, nie pozostało bez wpływu na syna, w którym od lat najmłodszych przejawiało się silnie uczucie religijne. Ojciec, dostrzegłszy w młodziutkim chłopcu niepospolite zdolności muzyczne, począł już od szóstego roku życia oswajać go z fortepianem. Postępom w tej nauce nie sprzyjały częste choroby dziecka: jakkolwiek bowiem młody Franciszek był silny i dobrze zbudowany, wysilenie jednak nerwów, spowodowane gwałtownym przemawianiem się muzyką, działało nań tak zabójczo, iż rodzice często rozpaczali o jego życiu. Pomimo przeszkód tych, już we trzy lata później (w 9-ym roku życia) chłopiec mógł wystąpić na koncercie w Oedenburgu, gdzie mimo silnej w tym dniu niedyspozycji, świetnie odegrał koncert Ries'a, oraz własną improwizacją. Po tym pierwszym występie dano drugi koncert, na jego wyłączny dochód, także w Oedenburgu, gdzie wzbudził taki zapal, że książę Esterhazy zaprosił go wraz z ojcem do swojej rezydencji w Eisenstadt. Tam, grając na raucie, do tego stopnia zachwycił słuchaczy, iż zaraz kilku magnatów węgierskich złożyło się na sześciolateńne stypendium dla niego, po 600 złr. rocznie, co na owe czasy było wcale znaczną sumką. Otrzymaawszy tę zapomogę, ojciec małego artysty udał się najpierw listownie do Jana Nep. Humml'a, który był wówczas dyrektorem w Weimarze; gdy wszakże warunki tego ostatniego okazały się niemożliwie wygórowane, porzucił swoją posadę i pojechał z synem do Wiednia, gdzie chciał go oddać pod kierownictwo, najpierwszej na owe czasy powagi, Karola Czernego. Ten początkowo wzdragał się czas jakiś, posłyszawszy jednak grę malca, przy-

jął go za ucznia, a zachwycony jego pojętnością i wdzięcznością, nigdy ani centa za naukę wziąć nie chciał. Z czasów tej nauki ciekawem jest podanie o widzeniu się młodego Liszta z Beethovenem. Czerny przyprowadził swego ucznia, który był wtedy 11-letnim chłopcem, do wielkiego kompozytora.

— Cóż możesz mi zagrać? — zapytał ten ostatni.

— Najlepiej lubię grać Bacha i pana! — odparł chłopiec.

— Bacha i mnie! — mruknął Beethoven, opierając brodę na rękę. — No, posłuchamy!

— Którą fugę Bacha i w jakim tonie mam zagrać? — zapytał młodziutki pianista, zasiadłszy bez nut do fortepianu.

— Czyś ty oszalał, malcze? — zawołał Beethoven.

Ale chłopiec, nie czekając na odpowiedź, odegrał fugę Bacha *fis moll*, drugą połowę w innej tonacji. Wysiłenie jednak było silne; młodociany wirtuoz bowiem omdlał, ku wielkiemu przeżeniu Beethovena i Czernego.

— Panie Beethoven, teraz odegram najukochańsze moje dzieło, pańskie nowe trio (op. 97). — rzekł, przyszedłszy do siebie.

Beethoven drgnął, jakby obudzony z letargu.

— Jakto? — zawołał — a gdzież nuty, gdzie instrumenta i wykonawcy?

— O, proszę pana, pozwól mi spróbować, panie Beethoven; gdzie będzie potrzeba akkompaniamentu, ja go sam dorobię...

I genialny chłopczyzna odegrał sam całe trio wobec mistrza, który stał, niemy z podziwu.

— Zrozumiałeś mnie — rzekł wreszcie, ścisłszy chłopca ze łzami w oczach — teraz idź i spraw, aby mnie inni zrozumieli!

Po półtorarocznej nauce u Czernego młody Liszt wystąpił z koncertem (13 Kwietnia 1823 r.), który zrobił w Wiedniu niesłychane wrażenie. Grał na nim, między innymi, wielki koncert Hummela A *moll*, oraz własną improwizacją, za którą podobno Beethoven publicznie go uścił. Ponieważ Czerny oświadczył, że nic mu już nie ma do powiedzenia, udał się więc ten cudowny dzieciak w towarzystwie ojca dla dalszego kształcenia się do Paryża, gdzie nęciło słynne podówczas konserwatorium tameczne. Po drodze dawał w różnych miastach niemieckich koncerty, które budziły frenetyczny zapal. Okrzyknięto go „drugim Mozartem“.

W Paryżu na wstępie nie powiodło mu się. Według ściśle przestrzeganych przepisów do konserwatorium paryzkiego nie wolno było przyjmować cudzoziemców. Nie pomogła rekomendacja Metternicha, nie pomogły szczere chęci dyrektora konserwatorium, Cherubini'ego: wyjątku zrobić nie chcieli. Nie opuścił jednak młody Liszt Paryża, a rozpoczęte w Wiedniu przy Salierim studia nad teorią i kompozycją ciągnął dalej pod kierunkiem uczonego Reicha. Prócz tego forsownie kształcił go sam ojciec, zadając mu codziennie do odegrania po 12 fug Bacha z transpozycją na wszystkie tony. Nic dziwnego, że przy takiej pracy postępy genialnego dziecka były zadumiewające. Rosła też odwiednio duchowa samodzielność artysty, a improwizacje jego wprawiały słuchaczy w szal prawdziwy. Grał tak, iż pewnego razu akkompaniujący mu członkowie orkiestry grać zapomnieli, składając zapomnieniem tem hołd najwyższy potędze jego talentu. To też koncerty, które dawał w owym czasie (w latach 1824 i 1825) w Anglii, Francji i Szwajcarii były tryumfami najświetniejszymi. W owym również czasie napisał operę: *Don Sanche ou le château des amours*. Rzecz to była w gruncie dość słaba i dlatego, pomimo znakomitego wykonania i owacyjnego przyjęcia na pierwszym przedstawieniu, wkrótce potem upadła. Przyjmowany w najarystokratyczniejszych salonach, rozrywany, „mały Liszt“ nie zmienił się jednak w salonowego motylka. Pracował usilnie, zwłaszcza nad kompozycją, a jednocześnie młoda a ognista jego dusza oddawała echo wszystkich współczesnych mu idei, które uderzały i zapalały łatwo jego serce i umysł.

We trzy lata później stracił ojca. Cios ten wstrząsnął silnie tklivem sercem młodzieńca.

Ogarneło go dziwne zniechęcenie do świata i uciech jego. Sprowadził matkę do Paryża, a zerwawszy wszystkie stosunki, z pewną chorobliwą zapamiętałością oddał się pracy, zbytek której powalił go na łożo boleści. Niemal, jak powiada w obszernej biografii jego panna Ludwika Ramann, przyczynił się do tego zawód w miłości, którą młody maestro żywił ku swej 17-toletniej uczennicy, hrabiance de St. Priest. Bądźco bądź, ciężka choroba nękała go przez dwa lata. Po powrocie do zdrowia objawił się w nim z wielką siłą mistycyzm religijny, pod wpływem którego oddawał się przez czas jakiś najsurowszym ćwiczeniom ascetycznym i chciał nawet przywdziać sukienkę zakonną. Na prośby matki zaniechał tego ostatniego, skłonność jednak do mistycyzmu pozostała; a wzmagały ją jeszcze dumania nad romantyczno-pessimistycznymi utworami, w rodzaju *Rénég* Chateaubrianda, które wówczas wielkiem cieszyły się powodzeniem i w jego duszy żywy oddźwięk znalazły. Publicznie występował mało. Nie mógł się zgodzić ze smakiem ogółu ówczesnego, uwielbiającego lekkie utwory Herza, i starał się go przerobić, grywając rzeczy Beethovena, bez wymieniania wszakże nazwiska autora, które mogłoby zrazić nieoswojoną publiczność.

Revolucja lipcowa gorącego znalazła w nim wielbiciela; pragnął czynny udział w niej przyjąć, rwał się na barykady i zaczął nawet komponować „Symfonię rewolucyjną“, którą jednak zarzucił potem, zużywając tylko niektóre jej motywy do znacznie późniejszego poematu symfonicznego: „Hungaria.“ Nieco później wielki wpływ wywarły na niego pisma Lamennais'go. Wogóle umysł jego zajmowały wszystkie szlachetniejsze idee, wszystkie podniosłe dążenia; odczuwał on je, przejmował się nimi, lecz nie przetrwał ich należycie, skutkiem czego tonął w sprzecznościach, przerzucał się tu i owdzie do wszystkiego.

Nagle wszakże młody artysta otrząsnął się z tych posępnych dumań i trosk filozoficznych, porzucił ćwiczenia ascetyczne, z nowym zapałem wziął się do muzyki, a zarazem wpadł w wir uciech i rozrywek światowych. Oile się zdaje, na zmianę tę wpłynęły koncerty Paganiniego, oraz miłość, która podówczas oświeciła jego sercem. Nieporównana gra włoskiego skrzypkaczarodzaja, jego zuchwała brawura w pokonywaniu najszańszych trudności jego nieograniczone panowanie nad instrumentem, — zachwyciły Liszta i obudziły w nim pragnienie takiegosamego królowania nad fortepianem. Z nową werwą zabrał się do studyów. Jednocześnie wszakże począł bywać więcej w towarzystwach — i tu nie jeden raz trafiła go strzała amora. W roku 1834, poznał się z powracającą z Włoch panią Georges Sand, stosunek jego wszakże ze słynną autorką był czysto przyjacielski. Miłość zbudziła w sercu młodego mistrza jedna z przedstawicieli arystokratycznego świata paryzkiego, hrabina Adela Lapinardiére. Dla niej porzucił Paryż i udał się w Alpy do prastarego zamku jej przodków, gdzie przepędził zimę ze swą ukochaną. Na wiosnę powrócił do Paryża, z kąd pisywał do niej częste i czułe listy. Następna wszakże już zima obudziła w nim nowe uczucie, stokroć gorętsze i trwalsze od pierwszego. Była to miłość dla hrabiny d'Agoult, znanej później w literaturze pod pseudonimem Daniela Stern'a, miłość podzielana, a może nawet gwałtowniej odwzajemniana przez tę ostatnią pod wpływem będących wówczas w modzie radykalnych teorii Sanda. Gdy Liszt w 1835 r. udał się do Szwajcarii, hrabina podążyła za nim. Tam, w zaciszu poetycznym, w towarzystwie ukochanej kobiety, gotował się mistrz fortepianu do przyszłych wielkich zwycięstw i tryumfów. Wydoskonalą swoją grę, technikę do ostatecznych doprowadzał granic, stwarzał nowe środki i efekty, któremi miał czarować i porywać tłumy, a zarazem pisał tu swoje pierwsze oryginalne utwory fortepianowe, oraz artykuły literackie do paryzkiej „Gazety Muzycznej“, („O muzyce religijnej“, „O tanich wydawnictwach“, „O stanowisku artystów“, i t. p.). Z dzieł fortepianowych powstały wówczas tu i owdzie bardzo piękne,

gdzieindziej aż do dziwaczności oryginalne „Années de pèlerinage“. „Harmonies poétiques et religieuses“, „Apparitions“, fantazyje z „Nioby“ Pacini'ego, z „Purytanów“, „Żydówki“ i „Lucy“ oraz transskrypcja fortepianowa „Symfonii pastoralnej“ Beethovena.

(Dokończenie nastąpi).

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

we Lwowie.

(Dalszy ciąg).

V.

Trzecie i ostatnie posiedzenie.

Mimo znużenie po dwóch posiedzeniach, pospieszyliśmy jeszcze tegoż dnia (19 Lip.) z zaciekawieniem na wieczorek gimnastyczny, urządzony na cześć członków zjazdu, we własnym gmachu Towarzystwa gimnastycznego „Sokoł“ (przy ulicy Zimorowicza). Na estradzie i po brzegach wielkiej sali gimnastycznej pomieściło się około 400 osób, na galeryi przygrywała muzyka wojskowa pułku 80. Ukazało się na sali około 60 „Sokołów“ (tak tu nazywają członków tego towarzystwa) w kostiumach gimnastycznych; była to nowość dla pań lwowianek, które też dość licznie się tu zebrały, albowiem „sokołowie“ nie pokazywali się podobno dotąd publicznie w kaftanikach nieco dekoltowanych i bez rękawów. Po stosownym przemówieniu prezesa Towarzystwa, doktora med. Króczyńskiego rozpoczęła się wzorowa lekcja ćwiczeń członków towarzystwa, jak ćwiczenia na koźle, na drążku, na poręczach, na drabinach pionowych i skośnych, tudzież ćwiczenia w skokach rozmaitych. Drugą część stanowiły ćwiczenia grona nauczycieli Towarzystwa gimnastycznego: wspinanie się na żerdziach pionowych i woltyże na koniu (drewnianym naturalnie), wszereż ustawionym, wywołały podziw publiczności, — śmiałym i trudnym ćwiczeniom na drążku, towarzyszyły od czasu do czasu rzęsiste oklaski. W zakończeniu przemówił znowu prezes, wykazując higieniczne znaczenie gimnastyki i jej związek z pedagogią.

Nastąpiła w salach towarzystwa skromna wieczera, na którą poproszono wybitniejszych pedagogów.

Zapanował tu odrazu serdeczny nastrój, podniosły go jeszcze mówki toastowe, nie bez werwy wypowiedane; wynieśliśmy to przekonanie, że dzielni „sokołowie“ nie tylko ciału służą: mówią wcale do rzeczy i nie są żarłocznymi, jak to zauważył prezes Towarzystwa Pedagogicznego p. Sawczyński, ukazując na nieopróżnione półmiski.

Nazajutrz (20 Lip.), przybywszy na salę posiedzeń przed 8-mą, mieliśmy czas rozpatrzyć się w rozwieszanej dużej tablicy p. t. *Kształty powierzchni ziemi*. Jestto rozpowszechnione dość niemieckie wydawnictwo Ferd. Hirt'a we Wrocławiu, służące przy początkowej nauce geografii; w bardzo wyraźnym a nawet estetycznym rysunku przedstawiają się tu różne kształty ładu i wody jak góry, wyspy, rzeki, cieśniny, między morza i t. d., których oderwane definicje wbijano w głowy uczniów sposobem pamięciowym. Zarząd Towarzystwa nabył kłiszę i wydał kartę z polską terminologią. Stanowi ona wyborne ułatwienie przy wykładzie geografii fizycznej; radzimy pp. księgarzom warszawskim sprowadzenie choć paru egzemplarzy dla zaznajomienia naszej publiczności z tym środkiem ułatwiającym i niewątpliwym, że znajdzie szersze rozpowszechnienie. Właśnie dla rozpowszechnienia tego pomiędzy nauczycielstwem galicyjskiem p. Benoni rozpoczął posiedzenie lekcją wzorową p. t. nauka pojęć wstępnych z zakresu geografii na podstawie tej tablicy. Jeżeli przypomnimy, że

dr Benoni oddawna pracuje w tym kierunku, że jest autorem „Rysu geografii i historii powszechnej,“ tudzież broszury: „O nauce geografii na podstawie kosmografii,“ a także atlasów szkolnych, które się w wielu wydaniach po Galicyi rozchodzą, to nie będziemy już potrzebowali zapewnić, że wykład jego był pod każdym względem wzorowym; streszczać go tu atoli nie możemy, tem więcej, że wiele pojęć z zakresu geografii i hydrografii objaśniał na podstawie okolic Lwowa, co dla naszych dzieci musi być czem innym zastąpione. Zgromadzenie uznało, że sposoby, podane przez referenta, są ważne, że mogą być wskazówką dla nauczycieli; postanowiło przytem drukować je w „Sokole“ i podziękowało referentowi przez powstanie.

Odczytano w polskim przekładzie telegram, nadeszły od Zarządu głównego związku stowarzyszeń nauczycielskich w Czechach: „Drodzy bracia! Sledzimy z zapałem szlachetne cele wasze, a obradom waszym życzymy najlepszego powodzenia. Niech z nich wyplynie trwałe pożytki dla szkół waszych i dla postępu szkolnictwa wogóle. Cieszymy się nadzieją ujrzenia waszych reprezentantów na tegorocznym zjeździe nauczycielskim w Pradze. Do widzenia!“

Z porządku dziennego następowało: Sprawozdanie z czynności administracji wydawnictw, referowane przez ruchliwego administratora tegoż p. Benoniego. Rachunki przedstawiają się nader korzystnie; dość powiedzieć, że wydawnictwa przyniosły dotąd czystego zysku przeszło 15,000 złr. Duży i tak już zakres wydawnictw, jeszcze się teraz rozszerzył, albowiem wydział krajowy i Kommissya dla spraw przemysłu domowego powierzyły Zarządowi towarzystwa wydawnictwo książek dla szkół przemysłowych, z których już parę zostało wydanych. Z drugiej znowu strony Rada szkolna przekazała Zarządowi wykończenie i wydanie książki dla „nauki dopełniającej.“ Książka taka, zawierająca treść z różnych gałęzi wiedzy, odpowiednią dla młodzieży wiejskiej, która z 12 rokiem życia szkołę opuszcza, ale obowiązana jest jeszcze uczęszczać na lekcje niedzielne, będzie tanią, bo się w wielu bardzo rozejdzie egzemplarzach, a jest teraz bardzo na czasie, gdyż odnośny § 41 w brzmieniu nowej ustawy z 2 Lutego r. 1885, przedłuża kurs nauki dopełniającej na trzy lata, zamiast dwóch, dotychczas obowiązujących. Wydawnictwa towarzystwa doszły do poważnej cyfry 186 i właśnie w r. b. wydano ładny, ilustrowany katalog tych wydawnictw, ze szczególnem uwzględnieniem dzieł, przeznaczonych na nagrody dla młodzieży. W końcu swego referatu p. Benoni zawiadomił, że 1/4 dochodu z rozprzedaży kilku wydawnictw przeznaczono na powiększenie funduszu burs dla synów nauczycielskich.

Ograniczamy się na wzmiance tylko o sprawozdaniu kommissyi lustracyjnej, która księgi rachunkowe towarzystwa znalazła we wzorowym porządku i o absolutoryum udzielonem jak za zwyczaj Zarządowi głównemu, nadmienając, że majątek Towarzystwa (włączając w to, wyżej wspomniany majątek wydawnictw) wynosi ogółem 27,446 złr.

Oddawna już Towarzystwo zajmuje się losem dzieci nauczycielskich. W kilku już sprawozdaniach z lat poprzednich mieliśmy sposobność rozpatrywać bursy; wyłącznych burs dla synów nauczycielskich dotąd niema; w różnych atoli miastach są już na to znaczne fundusze lub też dzieci nauczycielskie korzystają z różnych innych burs, których jest w Galicyi kilkanaście.

Na ostatnim zjeździe (w Przemyśle) sprawę tę bardzo żywo poruszono i obmyślono środki co rychlejszego jej urzeczywistnienia. Zarząd główny wyjednał u władzy pozwolenie zbierania składek na ten cel, rozwiniął czynną energią, znośił się z zarządami oddziałowemi towarzystwa, wzywając je do współdziału. I tu występuje fakt, który tylko na gruncie galicyjskim może być zrozumiany: dwanaście zarządów oddziałowych zachowało najzupełniejsze milczenie w tej rzeczy; piśmienne odezwy Zarządu głównego pozostały bez skutku, inne zarządy zakrzętały się żywo około składek, inne znowu dały dowód niebywalej nieporadności, czy naiwności; oto np.

nie mogły znaleźć nikogo w całym okręgu, co by się podjął zbierania składek, aż z jednego zarządu przedstawiono jakąś osobistość, ale chudeńsz ten mógł być tylko w takim razie jeździć po okolicy, gdyby miał kosztą podróży zwrócone i przynajmniej guldena dziennie strawnego! Fakt ten nieprawdopodobny poczerpnęliśmy ze „Szkół.“

Pracowity elabrat o stanie funduszu burs nauczycielskich odczytał prof. Służewski, któremu Zarząd sprawę tę, wymagającą już dziś osobnej kancelaryi, powierzył, za co też zgromadzenie podziękowało mu przez powstanie. W długich debatach radzono różne sposoby rozwiązania żywej akcyi, skuteczniejszego zaagitowania składek; wyrażono lepsze nadzieje na przyszłość, gdyż nadzwyczaj niska summa składek tegorocznych, wynosząca nie całe 800 złr. przypisuje się skierowaniu ofiarności publicznej na inne potrzeby, klęskami losu wywołane. Różne tedy sposoby, jak uproszenie władz kościelnych, rad powiatowych i innych instytucji o pomoc w zbieraniu składek, utworzenie składek centowych w każdej szkole, uproszenie jaknajwiększej liczby poborców i t. p. zgromadzenie mogło tylko przyjąć do wiadomości, — uchwalono jeden wniosek: Walne zgromadzenie zobowiązuje zarząd, aby postarał się u rządu o prolongatę pozwolenia na zbieranie składek jeszcze przez rok jeden.

Zarządzono wybory. Po odpowiedniej przerwie skrutatorowie ogłosili rezultat: Prezesem został ponownie (poraz trzynasty, jeśli się nie mylimy) p. Sawczyński, wice-prezesem również jak dotąd, czynny i zasłużony Dr T Gerstman. Wybory na członków Zarządu głównego wypadły inaczej, niż proponowano z góry: z 13 kandydatów, podanych na kartkach drukowanych, utrzymało się tylko siedmiu: Baranowski Bolesław, Dr Benoni Karol, Dziedzicki Ludwik, Korek Jarosław, Komnicki Maryan, Starkel Romuald, Dr Żuliński Józef. Zamiast zaś sześciu pozostałych, dobrze zasłużonych w Zarządzie i w literaturze pedagogicznej (Bąkowskiego Józefa, Kahna Felixa, Makowskiego Marka, Parasiewicza Szczepnego, Próchnickiego Franc. i Służewskiego Michała), wybrano innych, reprezentujących przeważnie nauczycieli szkół ludowych: Kropińskiego, Opalka, Piórkiewicza, Rawera, Rewakowicza, Skrzyńskiego. Wielka zachodzi wątpliwość, czy Zarząd, któremu tak potrzeba czynnych i uzdolnionych współpracowników, zyska co na tej zamianie. Nauczyciele ludowi, agitując w ten sposób, popełniają grube błędy; teraz właśnie gdy powstało towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, absorbujące nauczycieli gimnazjalnych, wypadłoby wszelkimi środkami powstrzymać tych przynajmniej z inteligencji, którzy oddawna w Zarządzie pracują. Zbyt ułama popycha agitatorów do zaślepienia, do działania na własną szkodę: jeżeli prof. Służewski, wezwany przez Zarząd, poświęcił wiele czasu zajęciom około funduszu burs, jeżeli zgromadzenie dziękuje mu za to przez powstanie, a swoją drogą wykreśla go z listy kandydatów do Zarządu głównego: to tak ważna sprawa burs, prowadzona dalej, a właściwie zaczęta *ab ovo* przez jakiego, dajmy na to pana Opalka, uciepnieć na tem musi.

Kommissya, wybrana na pierwszym zgromadzeniu do zbadania wniosków, postawionych w ciągu zgromadzenia, zdawała teraz z nich sprawę. Wspomniemy tu tylko o ważniejszych, pomijając inne, jako objęte już memoriałami, tyle razy powtarzanemi, lub też lokalne mające znaczenie.

Aby ułatwić naukę tym, których nie stać na podwyższoną obecnie opłatę szkolnego (czesne) w szkołach średnich, p. Kowalówka projektuje założenie dwóch szkół męzkich wydziałowych czteroklasowych z kierunkiem przemysłowym we Lwowie i Krakowie. Projektuje także zorganizowanie pomocy naukowej dla zdolnych uczniów, których rodzice nie są w stanie opłacać wysokiego chesnego. Obadwa te wnioski Zgromadzenie uchwaliło i przekazało Zarządowi Głównemu. Drugi zwłaszcza wniosek, jako łatwiejszy do prędkiego wykonania, szczególnie poleciło Zarządowi, licząc na to jeszcze, że urzeczywistnić go będzie łatwo w porozumieniu z Towarzystwem nauczycieli szkół wyższych.

Na wniosek oddziału brzeżańskiego postanowiono odnieść się do Rady Szkolnej w sprawie rewizyi budynków szkolnych, które pod względem sanitarnym w opłakanym nieraz są stanie. Przekazano również Zarządowi do załatwienia kilka innych wniosków, dotyczących zniesienia przymusu szkolnego, poparcia memoriałów, podanych już do sejmu, utworzenia „Pedagogium“ poprawy elementarza i n. Hucznie oklaskami przyjęty wniosek Bilińskiego, co do zamianowania ks. Kopycińskiego, dzielnego obrońcy w sejmie spraw szkoły, członkiem honorowym Towarzystwa, może być załatwiony dopiero na przyszłym zjeździe, kiedy Zarząd z nim wystąpi, jak tego § 8 statutu Towarzystwa wymaga. Żywe bardzo rozprawy wywołał wniosek zniesienia dorocznych egzaminów publicznych, a zastąpienia ich uroczystościami szkolnemi. Znaczna większość była za wnioskiem, polecono też Zarządowi wystąpić do Rady Szkolnej z podaniem w myśl tej uchwały. W humorystycznym nieco tonie traktowano projekt reformy przymusu szkolnego, a mianowicie zamienienia go na rygory przy ślubach i dziedziczeniu spadków dla tych, którzy lekceważyli szkołę. Na ostatni wymowny wniosek p. Błachowskiego zgromadzenie powstało dla uczczenia Włod. hr. Dzieduszyckiego, opiekuna szkół i nauczycieli, twórcy muzeum, co jest skarbcem i dumą narodową.

Nastąpiło zamknięcie zjazdu. Na wstępie swego przemówienia prezes Sawczyński oddał cześć pamięci dwóch zmarłych członków honorowych: Jana Dobrzańskiego, znanego redaktora publicysty, nieustraszonego Członka Zarządu Towarzystwa i gorliwego rzecznika spraw tegoż Towarzystwa i wogóle szkolnictwa w prassie, tudzież Karola Klobassy, światłego obywatela ziemskiego, hojnego protektora szkół ludowych. Poświęcił też prezes słówko pamięci zwyczajnego członka Towarzystwa, a zasłużonego pedagoga, Aleksandra Ruszczyńskiego. Podziękował następnie za zaufanie, jakim go zgromadzenie zaszczyliło, wybierając ponownie na prezesa, którym to obowiązkom trudno mu teraz podolać z powodu innych zajęć (w Radzie Państwa). Wyraził dalej nadzieję, że skoro to zaufanie pochodzi z wyborów, więc musi być szczere, całkowite, niepofołowne; a do tego, co mówi, dają mu powód niektóre objawy choćby w czasie dopiero co ukończonych posiedzeń. Prosił, aby nie słuchali podżegających podszeptów, aby brakiem umiarkowania i godności w wyborze środków nie zaszkodzili własnej sprawie, ściągając na siebie zarzut plenienia żywiołu anarchicznego, rozkładowego. Budować, a nie ruinować to zadanie nauczyciela. Wyrażając nadzieję pomyślnego obrotu spraw w myśl słusznych wymagań nauczycieli, zakończył przemówienie powtórną prośbą o zaufanie dla całego Zarządu Towarzystwa. Wzniesiono też okrzyk na cześć prezesa, poczem jeszcze Dr. Roszkowski, członek reprezentacji miejscowej, pożegnał zgromadzenie, podnosząc jego obrady do znaczenia ważnych prac obywatelskich.

(Dokończenie nastąpi).

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg)

Jeremi Wiśniowiecki, który stał i cierpliwie, niekiedy tylko w górę oczy podnosząc, nie mógł już snadź strzymać się dłużej. Piers mu wzbierała. Westchnął ciężko.

— Niechże nas popytają — rzekł z powagą — nas, cośmy z tym nieprzyjacielem od młodych lat walczyli, z tym narodem, który i wrogiem i sługą znamy. Nie jest to Tatarzyn, który zwierzę-

ca kupą i jakby trzoda wilków napada, a odegnany pierzcha bezładnie; jest to lud wytrwały, chytry, przebiegły, mściwy, a swobodę swą kochający tak, jak my naszą szlachecką miłujemy. Chcemy ich poznać: złamać musimy, a ta kupka porażona niczem jest; dziesięć kroć tyle jutro stanie pod bronią, gdy im tylko tchnąć damy, i pójda—wieszać, ścinać, na pal wbijać, wewnątrz wydzierać dawnym panom, bo Chmiel im swobodę i panowanie obiecał; poddadzą się Moskiewskiemu, zaprzędzą Turkowi, zwiążą z Turem, duszę zapiszą szatanowi, byle nas pognać mogli... Kijowa się domagają, jutro będą Rusi całe, a pokażą jej granice w samym sercu Rzeczypospolitej. Chłopsstwem ich zwiecie: spojrzcież w te pisma, które z całego świata do Chmiela słano i ślą, jako to chłop nad statystów naszych, bo i do Szwecyi umiał trafić i gdzie tylko nieprzyjaciela na nas mógł zbudzić. Szwed, Rakoczy, Moskwa, Turek—wszystko im dobre przeciwko nam, a w tej godzinie, gdy największe grozi niebezpieczeństwo, szlachta do domów się wybiera spoczywać!

Westchnął.

— Bóg ją zasłępił.

Radziejowski, słuchając, węża pokręcał. Rada króla otaczająca milczała, wszystkich twarze posmutniały. Jan Kazimierz stał milczący długo.

— Do ostatka — rzekł w końcu — spełnię powinność moją, a jeśli mi Bóg nie da dzieła dokonać, wina niech spadnie na tych, co oręż mi z rąk wyrwają. Potomstwo ich może za winę przodków pokutować będzie.

— *Quod Deus avertat!* — szepnął biskup Leszczyński.

Król powolnym krokiem, podniósłszy ściankę, wyszedł do drugiej części namiotu, gdzie zwykły był się modlić.

Podkanclerzy, korzystając z tego, przysunął się do obradujących, po za których kołem się dotąd trzymał, bo nikt się z nim rad nie kumał, już dla tego, iż o króla niechęci wiedziano, już, że on sam nikomu nie był miłym.

— Prawdą jest — począł — że szlachta się zrywa, że koło zwołuje, ale niczem to wszystko. Jak ją kilku ludzi powiodło, tak ją też odprowadzić można i skruszyć.

— Zapominasz — wtrącił Leszczyński z powagą i surowością — że do domów i spoczynku łatwiej człowieka prowadzić, niż do ofiary i trudu. Pochlebiasz sobie, że u szlachty masz miłość i wiarę?

— Tak jest — zawołał śmiało Radziejowski — tak jest i wistocie pochlebiam sobie, iż to potrafię zmienić.

— Nie ociągajcie się — dodał sucho Jeremi Wiśniowiecki — my-byśmy już wychodzić powinni. Każdą godzinę opóźnienia przypłacimy.

Radziejowski rzucił oczyma dumnie z wyrazem szyderskim po przytomnych i wyszedł z namiotu.

O kilkadziesiąt kroków dalej, czekał na niego Dębicki z twarzą rozgnioną i oczyma błyszczącymi.

— Koło zwołują! — rzekł radośnie. — Posłysz na niem król prawdę gorzką i szczerzeć go nie będą. Szlachta mu teraz Niemcami wypiekać będzie.

Podkanclerzy się pochylił ku niemu.

— Nie idźcież tylko zadaleko — szepnął — bo mnie na tem wiele zależy, abym ja nawrócił i królowi się zasłużył. Niech gardłują, ale do odwrotu drogę trzeba zostawić.

Dębicki potarł czoło i ramiona poruszył.

— To wasza rzecz — rzekł — ale trudno miare zachować.

Poszeptali między sobą i natychmiast obaj na konie siedli, podczaszy w jedną, podkanclerzy w drugą się udają stronę.

Obóz wrzał; już teraz powstrzymać poruszenia nie mógł nikt. Do domów! wołano, król ma swą piechotę. Huwaldów i innych Niemców, ma Kwartianych; starczy mu ich, nam już dosyć tej poniewierki.

Zwoływano się ziemiami i województwy. Prąd, raz pchnięty, rwał coraz silniej pociągając za sobą.

Ze starszyny już ten i ów się wahał. Przy

królu nikt odzywać się nie śmiał, ale między senatorami też tęsknota za domem rosła poczyniała. Szemrano.

— Król się zapalił. Niechby, na hetmanów zdał: to nie jego rzecz... Gotów nas w polu trzymać aż Kozaków nie stanie.

— Przekonać go trudno — szeptali drudzy.

Tegoż dnia wieczorem król oznajmił, że chce do Brodów, do Koniecpolskiego jechać, aby twierdzę przez ojca jego wzniesioną oglądać.

— Nie ustaje więc wojować — wzdychali pokój miłujący.

W umysłach zamęt powstał wielki, wanie się.

Coraz więcej głosów odzywało się za tem, aby na hetmanów zdać wszystko, króla do Warszawy dla spoczynku wyprawić, pospolite ruszenie puścić.

Na uchodzących kogoż wysłać było, jeżeli nie Jeremiego Wiśniowieckiego? Jednym głosem wszyscy go wskazywali.

Wieczorem Krakowian gromada się się zebrała u księcia Dominika Zasławskiego. I tu o Jeremim ktoś wspominał, jakoby słyszał, że gotowym był ścigać Kozaków sam, byle mu połowę wojska swego król oddał pod komendę.

— Połowę wojska! — zawołał gospodarz — to nie, ale z tą połową, on królowi całą sławę, całą zasługę wiktoryi odniesionej odbierze. Kto miłuje króla i sprawiedliwość, na to pozwolić nie może.

Mało jeszcze sławy ma Wiśniowiecki, choć na nią więcej szczęściem niż rozumem zasłużył. Chce mu się jednemu być — u szczytu stanąć, wszystkich zaćmić!

Poczęto potakiwać.

— Królowi-by się sroga krzywda stała — wołano.

Książe Dominik obstawał gorąco za królem.

— Tego tylko potrzeba, aby on komendę wziął, a na osłabionych poszedł! — wołał. — Król po zostanie ze słabym oddziałem i nie począć nie będzie mógł — a on pewnie zwycięży, bo Kozactwo ucieka. Na to nie można pozwolić.

— Jest Potocki i Kalinowski — dodał pułkownik Oblęski, oni też coś warci — niechże im się co dostanie; wycierpieli w niewoli dosyć, a Jeremi wszędzie miał szczęście.

Nadeszła noc. Przed obrazem Najświętszej Panny Chełmskiej klęczał król i modlił się długo. Bohaterstwo mu ciążyło już na barkach znudzonych.

Jeszcze dziś pragnął iść dalej, jeszcze mu biło serce, gotów był; ale znużenie wielkie czuć mu się już dawało.

Gdyby wszyscy udzielnie iść z nim chcieli! Przez cały dzień przynoszono mu tylko: — szlachta się opiera, wszyscy do domu wołają. Wstaw się zachwiał się nieco, bo noga jeszcze dolegała. Sparł się na lasce; w pierwszej namiotu dzielnicy, stał Strzębosz.

— Co słyszał? — zapytał król — tyś po obozie chodził?

— Umyślnie, dla języka — westchnął Dyżma.

— Nawrócił ich Radziejowski? — szydersko odezwał się Jan Kazimierz. Strzębosz się uśmiechnął.

— Mówią... alem tam nie był, że wistocie gardłował, ale pono z takim skutkiem, że go zakrzyczano, zahukano i wściekły się musiał wynosić.

— Kochanek on szlachty co go-to ona na rękach nosić miała! — rzekł król szydersko. — Cóż się stało? dopóki jej potakiwał, dobrym był, a teraz — precz z nim.

— Sądję, że nie da za wygraną — począł Strzębosz — boć przecie się obiecywał nadto i chwalił — ale o skutku wątpię.

I pomilczawszy nieco, dorzucił Dyżma:

— Niepojęte-bo są szlaki i drogi, któremi chodzi pan podkomorzy. Druh od serca Dębickiego, a ten gardłuje za szlachtą — gdy podkanclerzy przeciw...

Wstrząsnął się król jakby z obrzydzenia.

— Dość o tym człowieku: zakała jest, ohydą.

Zwrócił się znowu do szlachty, dopytując Strzębosza: czego chciała za to, gdyby pozostała przy nim i wojsku.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Dyżma — mnie się zdaje, jak dziś stoją te warcholenia, że już za

żadną cenę ich kupić nie można, bo i o cześć swoją nie dbają.

Zachmurzyło się oblicze króla i padł na tureckie posłania z poduszek, któremi namiot był wewnątrz otoczony.

— Pójdę sam, bez nich — rzekł w duchu — srom ich ogarnie!

Myśl ta utkwiała w nim.

— Tak jest — powtarzał sobie — to jeszcze srodek ostatni: zawstydzą się, nie opuszczą mnie. Rozprawiać z nimi słowy — próżna strata czasu. Pójdę, pójdę!

Wstał z siedzenia i Jaskulskiego, który był pod ręką, zawołać kazał.

— Masz wiedzieć — rzekł nakazująco wchodzącemu — i masz mówić, jeżeli się pytać będą, że — jeśli nie chce szlachta, niech idzie, gdzie ją oczy niosą... Pójdę z wojskiem sam!.. rozumiesz to — pójdę sam!

I z naciskiem powtórzył kilkakroć.

— Rozumiesz to — pójdę sam.

Wieczora tego w obozie, można się było sądzić nie wśród wojsk i rycerstwa — ale jakby na burzliwych sejmikach.

Gdyby ladajakie Kozactwo napadło naówczas, zaatakowanych i rozgorączkowanych-by brało gołą ręką — taki szal panował między szlachtą, a od niej i do wojska przechodził.

Kozacy, wojna, ojczyzna, niebezpieczeństwo — wszystko było zapomniane; burzono się przeciwko królowi, jakby on był winien tylko.

I ciągle powtarzało się jedno, czego nauczyli przewodzący. — Niech król idzie ze swymi Niemcami; szlachta darmo służyć nad dwa miesiące nie jest winna. Myśmy swoje zrobili. Koło zwołać, sądzić. — Dosyć-śmy się najedli nędzy... do domów!..

Jedno z najburzliwszych takich kół z Krakowianów i Sandomierzan złożone, do których co było gardłaczów, opojów i warcholów się zbiegło, położyło się pomiędzy namiotami z takim wrzaskiem i miotaniem się, jakby miało, tuż za szablę porwawszy, na królewskie się rzucić. Mówca jeden po drugim występował na starą okiennicę, gdzieś w miasteczku wydartą, którą próżną beczkę od piwa okryto... Dźwigano go, podnosząc pod pachę, stawiono na wyżynie i poczynął krzyceć.

Jeden z drugiego tożsamo powtarzał ochrypłym głosem, a szlachta wszystkich akklamowała.

Z boku stał Dębicki i słuchał, ale poza nim, opończą okryty, czekał Radziejowski... Miano mu tu uroczyste wniście przygotować i przyjęcie. Poił i karmił dosyć szlachty: więc pewien był, że gdy mu się ta do kolan wówczas kłaniała, gdy się jego mięsiwem dławiała, zającąc, to i teraz na skinienie go posłucha. Nie wiedział o tem, że tażsama szlachta, kupą idąc, rozpoiwszy się złotą wolnością swą, nie zna chlebobawców i nikomu się nie kłania.

Z pogardą patrzył na ten tłum Radziejowski... sposobili się sam przeciw niemu stawić czoło.

— Nie bardzo radzę — rzekł Dębicki.

— Co ty ich tak sądzisz! — mruknął Radziejowski — szuja jest, trzeba jej z góry zaimponować... pójda jak zmcy.

Komedia się tedy przygotowywała. Wpadł rozpychając szlachtę i krzycząc: cyt, cyt!.. słuchajcie — naprzód Snarski.

— Podkanclerzy do nas idzie.

Cicho się zrobiło, aż ktoś z kąta:

— No, to co? wielka rzecz! podkanclerzy? Jechał go sęk i po wszystkim.

Śmieli się inni, aż nadbiegł za Snarskim Kazimirski.

— Panowie bracia! Jedzie do naszego koła Radziejowski; ten nam rozumną radę da. Pochlebę nie był i nie jest.

Wtem z drugiej kupy ktoś, zachęcony pierwszym wystąpieniem, zawołał:

— Niech radzi a nie zdradzi: będziemy mu radzi!

Poczęli drudzy klaskać.

Czekali, milcząc trochę i oglądając się, aż któryś krzyknął:

— Nim podkanclerzy raczy, my dalej swoje.

Szmer się dał słyszeć: — Jedzie, jedzie.

Poprzedzał go pacholik z pochodnią.

Podkanclerzy z twarzą jechał wielce dobroduszną do panów braci, pokorny, ale się przystroił aby też znali w nim dygnitarza.

Zaraz w początku poczuł, że tu nie za stołem u śniadania było: szlachta mu nie ustępowała, musiał się cisnąć z pomocą Kazimirskiego i Snarskiego do środka. Tu wszedłszy, choć dosyć słusznego wzrostu był, pośród tłumu utonął. Spojrzał dokoła: nie było nic, jeno beczka próżna z okiennicą.

Poszeptał z akolytami i podejmując kołpaka, wlażył na chwiejącą się okiennicę. Z góry, po gromadzie gdy rzucił okiem... jakiś mu się młodo zrobiło. Zewsząd na niego skierowane były wejrzenia—ostre, badające — i, jakby go tu nikt nie znał...

— Pokłonił się wkoło.

— Miłośnicy panowie a bracia... zasłyszawszy, iż tu sprawa się ważna toczy, która nas wszystkich obchodzi, ja też, jako wierny syn tej ojczyzny, przychodzę do was, złem czy dobrem się dzielić.

Nastąpiło milczenie jakiegoś złowrogie.

— Hej—przystąpił łysy, chudy, wzrostu ogromnego drab, w wyszarzanej opończy—dobrze żeście przyszli: posłuchajcie grawaminów, zanieście je królowi... Macie u niego ucho.

— Do domów chcemy! — poczęli wołać z gromady.

Wtem Obzolski, Sandomierzanin, ręką za pasem, czapka na uchu, wystąpił tuż przeciw. Dał drugą ręką znać aby się uciszyli i począł:

— Już nam w gardłach pozasychało od daremnego wołania. Stańcie na tem: dalej nie pójdziemy; król ma wojsko. Myśmy powinność oddyli; teraz płatnego żołdaka rzecz: tych, których my przepłoszyliśmy, po chróstach i błotach dobijają.

Chce król tych łowów dalej zażywać, niech idzie—my —non plus ultra. Nie-pój-dzie-my...

Sklonił się; applauz mu dano i huknęli zewsząd, podnosząc ręce:

— Ani kroku dalej!

Stał chwilę podkanclerzy.

— Proszę o głos, ucha mi dajcie!

— Mów, mów...

— Ciężką ofiarę dla ojczyzny ponieśliście, to prawda—począł, ale gdy się co w połowie uczyniło, nie trzeba sobie dać sławy odbierać lada kwarciannym. Powiedzą, że szlachta z pola uszła, a ojczyznę płatny żołdak ocalił. Tu o cześć naszą idzie. Daleko ciągnąć nie potrzeba, aby nieprzyjaciela pogromić, dosyć pokazać ochotę...

— Oho, oho! — wymykały się głosy — toć go król przysłał!

— Ja z wami, panowie bracia — ciągnął dalej podkanclerzy, kość z kości waszych... ale dla czci naszej trzeba ofiary! Króla nie opuście wy samego.

— Wojsko ma... Niemców ma!

Radziejowski, nie zważając—puścił się w oratorskie nawoływania; krzyczał, miotał się—rzucił; a choć mu już nie przerywano, gdy w końcu ustał, poczuł, iż go połowa nawet nie słuchała. Gwarzono coraz głośniejsze, wysunął się Obzolski, któremu w głowie młode piwo szumiało:

— Porzuć wasze to kazanie—krzyknął—mówmy nie żaki! Słyszeliśmy to wszystko... Co się rzekło—święte... Nie-pój-dzie-my!

Drugi, zaczerwieniony mocno, poparł go, kułak ogromny podnosząc Radziejowskiemu niemal do piersi.

— Coś ty? podkanclerzy?... a my—prosta szlachta — ale my naszego rozumu domorosłego na twój zagraniczny nie pomieniamy. Pieniędzy na wojnę... niech szlachta daje, pobory, taxy, podatki, łupią z niej, na ostatku jeszcze i krew... zawołali — poszliśmy, a no, temu raz koniec musi być!

Wrzask taki się rozległ, a ręką tyle wyciągnęło, iż podkanclerzy, choć głos podniósł i krzyczał sobie, już go wcale słyhać nie było.

Okiennica się pod nim trząść zaczęła. Stał jeszcze, ale go już Snarski ciągnął. Mówić nie było sposobu.

— Panowie bracia!

Zahuczano go.

— Złaż, panie bracie.

Z boku grubszymi słowy rzucano na niego..

— Znamy dworskich pieczeniary. Na wymowie wam nie zbywa, ale swada—zdrada!

Musiał, postawszy chwilę, zniżyć Radziejowski tak rozjątrzony i zły, że mówić nie mógł do Kazimirskiego, który go pocieszać się starał.

— Zburzone to fale — szeptał Kazimirski — z niemi teraz do ładu nie przyszedłby nikt. Ani Demostenesa ni Cicerona-by nie posłuchali.

Jeszcze stał tak pomieszany podkanclerzy, gdy całkiem nieznamy mężczyzna, wyróżniający się wśród tego tłumu, z twarzą zasępioną przystąpił do niego.

— Oto macie owoce własnych waszych zasiewów — rzekł z powagą — daliście groblę zerwać: poszły wody, patrzcie, aby i was nie zatopiły.

Zmarszczył się podkanclerzy, bo nie znał tego, który się do niego odzywał.

— Dlaczegoż mnie obwiniecie?—odparł z urazą i dumą.

— W piersi się uderzcie — rzekł nieznamy, i odwróciwszy się zniknął w tłumie.

VIII.

Gotowano się więc w dalszy pochód za Kozakami, jak był rozkaz królewski, choć szlachta burząc się nic o tem wiedzieć nie chciała. Jan Kazimierz też tak czynił, jakby o niej nic nie wiedział. Ukrywano przed nim, co się działo od kilku dni, coraz wzmagając, wśród ziem i województw; nie chcąc mu odbierać tej wiary, że szlachta go nie opuści. Ufał w to, że gdy się na czele wojsk poruszy, pospolite ruszenie nie pozostanie w obozie, ani się rozplynie.

Mało król wierzył obietnicom Radziejowskiego; przecież ta pewność, z jaką on przełamać opór szlachty przyrzekał wchodziła w rachunek.

Ale podkanclerzy, popróbowawszy sam i z pomocą swoich tu i owdzie przywieść do upamiętania panów braci, przekonał się w końcu, że wpływ, jaki sobie przypisywał, jeżeli kiedy go miał, w rozgorączkowaniu tem wcale się już czuć nie dawał. Dębickiego słuchano, bo szedł z nimi, Radziejowskiego znać nie chcieli i okrzykiwano go—zdrajcą.

Podkanclerzy, zamiast sam na siebie za fałszywą gniewać się rachubę, i na szlachtę, która szalała, słuchać go nie chcąc, wszystko teraz składał—na króla.

Ani Kazimirski, ani Snarski, ani zręczny Proszka, na których rachował, pomódz mu do odzyskania wpływu nie mogli. Radziejowski poczwarną baśń wymyślił, aby siebie uniewinnić, a zburzonym się zalecić nanowo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„Dziady“ a „Werther“,

ZARYS PORÓWNAWCZY

przez

Edwarda Schnobricha.

Niema w literaturze powszechnej utworu, któryby mógł się mierzyć we wrażeniu, jakie sprawił, z „Wertherem“ Goethego. Ażebym mieć nie jakie wyobrażenie o tem fenomenalnym zjawisku, trzeba koniecznie przeczytać książkę Appell'a: *Werther und seine Zeit*. Jest to spis tłumaczeń, naśladowań, trawestacji spowodowanych wyjściem na świat „Werthera.“ Appell śledzi także i wpływ na literaturę europejskie, rozbiiera stosunek włoskiego poety Foscola i jego *Listów Jakóba Ortisa* do Werthera. Literatury polskiej nie zna i z tego powodu w książce jego panuje rażąca próżnia; Werther bowiem i u nas, choć późno, podobnie jak na Zachodzie, wybitne pozostawił ślady w nastroju umysłów. Zestawienie tego utworu z *Dziadami* obudzić by powinno, jak mniemam, żywsze zajęcie. Jak *Werther*, tak i

Dziady są pomnikiem młodocianych porywów obu wielkich poetów. Werther ma zewnętrzną podniętę swoją w stosunku Goethego do narzeczonej i w śmierci młodego samobójcy Jerusalema. Również w subiektywizmie młodzieńczym Mickiewicza szukać potrzeba pobudek twórczych do II i IV części *Dziadów*, które tutaj właśnie zająć się mamy.

I 1).

„Werther“—wyrzekł Goethe w r. 1824 do Eckermanna,²⁾ jest także takim utworem, który, jakby pelikana, krwią własnego serca karmiłem. Jest w nim tyle głębokich drgnień z mojej własnej piersi, tyle z moich uczuć i myśli, iżby można mi wypełnić romans o dziesięciu takich tomikach. Nie chciał jednakże poeta w autobiografii swojej *Wahrheit und Dichtung* uczuć swoich przedstawić w tem świetle, jak się one okazują każdemu, kto zna namiętne rozgorzenie jego dla Karoliny Buff: zbywa tu ów fenomenalny proces, który się odbył w jego duszy, kilku lakonicznymi słowy: „Czego dożyłem w Wetzlarze nie ma wielkiego znaczenia, ale może wzbudzić większego zajęcie, jeżeli nie pogardzimy pobieżną historią sądu kameralnego, ażeby przedstawić sobie niefortunną chwilę, w której tam przybyłem.“ O swej miłości poeta nie wspominał ze względu na żyjącą jeszcze wówczas (w r. 1812) małżonkę Kestnera, która w Wertherze, jako „Lottchen“ miała przeżyć drugie życie. Ciekawi czytelnicy nie zadawali się pięknem „Werthera“, jako utworu artystycznego; chcieli zdrzeć zasłonę, która okrywała postacie Alberta. Werthera i Lotty! Ta ostatnia długo królowała w sercu Goethego. Bez niej nie byłoby Werthera, a przynajmniej nie byłoby w tej formie, w jakiej przeszedł przez całą Europę i zrodził chorobę znaną w literaturze, jako „Wertherfieber“.

D. 9 Czerwca 1772 r., Goethe pierwszy raz ujrzał na balu we wsi Volpertshausen pannę Buff. Bal ten przeszedł do „Werthera“, gdzie w liście z dnia 16 Czerwca opisuje poeta wrażenie, jakiego doznał pod wpływem czarującej postaci Szarlotty. O tym balu wspomina Kestner we fragmencie listu: „Dnia 9 Czerwca 1772 r., zdarzyło się, że Goethe był razem z nami na balu na wsi, gdzie moja dziewczyna i ja także byłem. Ja nie mogłem być na czas i dopiero później przybyłem odbywszy drogę konno. Narzeczoną moją pojechała więc w innem towarzystwie; Dr. Goethe był w tym samym powozie i tutaj najpierw poznał Lottę. Posiada on dużo wiedzy a naturę we względzie fizycznym i moralnym obrał sobie za główny przedmiot swych studyów, w których dąży do wykrycia prawdziwego piękna. Żadna z tutejszych panien nie zadowoliła go; Lotta zaraz zwróciła całą jego uwagę. Jest ona jeszcze młodą; jakkolwiek twarz nie ma rysów regularnej piękności, posiada jednak pociągający urok. Jest to jakby pogodny poranek wiosenny; zwłaszcza owego dnia, ponieważ lubi tańczyć, była wesołą, niezwykle ożywioną i jaśniała wdziękiem. Strój miała na sobie zupełnie prosty. Goethe dostrzegł w niej zmysł dla piękna natury i niewymuszony dowcip, raczej humor nawet, niż dowcip. Nie wiedział, że nie była już wolną; nie jest to naszym zwyczajem, okazywać sobie coś więcej niż przyjaźń. Zdarzyło się, że właśnie w dniu poznania był niezwykle płochego usposobienia, a wesołość ani na chwilę go nie odstępowała. Takim bywa niekiedy; umie być jednak i melancholijnym. Szarlotta całkiem go podbiła, a to tem bardziej, że nie starała się umyślnie o to, oddawszy się

1) Na tem miejscu przytaczam znaną mi literaturę o Wertherze: „Goethe und Werther“, listy wydane w r. 1854 przez syna Lotty, A. Kestnera; Erich Smiedt: Richardson, Rousseau, Goethe; Appell: „Werther und seine Zeit.“ Wilhelm Herbst: Goethe in Wetzlar 1772. Vier Monate aus des Dichters Jugendleben, Gotha 1881. Ov. Heinemann: „Im Neuen Reiche“ 1874, 1, 970—980. Richard Maria Werner: „Der Berliner Werther“; B. R. Abeken: „Goethe in den Jahren 1771 bis 1775“.

2) Gespräche mit Goethe in den letzten Jahren seines Lebens; von Johann Peter Eckermann. Drei Theile; III 37.

rozrywce. Na drugi dzień Goethe nie omieszkiał zapytać się o jej zdrowie”.

Pierwsza część Werthera jest odbiciem rzeczywistości która Goethemu tak mocno wyrwała się w umyśle. Dnia 10 Września roku 1772 pisze poeta do Kestnera: „Uciekam, Kestnerze. Kiedy te słowa dojdą do pana, już mnie tu nie będzie. Oddaj pan Karolinie załączoną kartę. Byłem w poważnym nastroju, ale wasza rozmowa rozstroila mnie. Nie mogę w tej chwili nic innego wam powiedzieć, tylko: „Bywajcie zdrowi!” Gdybym pozostał dłużej z wami, nie wytrzymałbym tego. Teraz jestem sam, a jutro odjadę. O, biedna moja głowa!” Do Karoliny napisał Goethe te słowa: „Wprawdzie spodziewam się powrócić, ale Bóg wie kiedy. Karolino! w jakim stanie znajdowało się serce moje, na myśl, że już ostatni raz widzę panią!... Pokój, do którego już nie powrócę!—i kochany ojciec, którym nie po raz ostatni odprowadził! Teraz jestem samotny i mogę płakać, zostawiam was w szczęściu i nie zniknę z waszego serca. Jakżebym pragnął zobaczyć was znowu! ale jeśli nie jutro, to już nigdy. Powiedz pani swoim chłopcom, że już mnie niema. Nic więcej powiedzieć nie mogę.”

Koniec tragiczny Werthera oparł Goethe na wiarogodnych notatkach, dostarczonych mu przez Kestnera. Pomimo to sympatya objawiona nie-szczęśliwemu szaleńcowi miała źródło we własnym jego usposobieniu. Spółcześni uważali Werthera za usprawiedliwienie samobójstwa. I w istocie, sposób, w jaki Goethe założył protest przeciw potępieniu samobójstwa, był bardzo wymownym. W liście z d. 12 Sierpnia w dyskusji z Albertem Werther wyraźnie występuje przeciw niewoli, która nas mała zmuszać do życia. Albert reprezentuje trzeźwy rozsądek, który głębokich wzruszeń i namiętności człowieka zrozumieć niezdolna „Nie wyobrażam sobie jak może być człowiek tak ograniczonym, aby się zastrzelił; sama myśl o tem, wstręt we mnie wzbudza.” Na te słowa Werther naciera z całą potęgą wzburzonego serca, które nie uznaje granic, wyznaczonych mu przez prawa.

„Że wy, ludzie—odparłem—aby o jakiejś rzeczy mówić, zaraz musicie powiedzieć: — „To głupie, to rozumne, to dobre, a to złe!” A co to wszystko ma znaczyć? Czyście w tym celu wewnętrzne stosunki jakiegoś czynu zbadali? Czy usiłujecie wykryć dlaczego się coś stało, dla czego musiało się stać? Gdybyście to czynili, nie byłibyscie tak pośpieszonymi w waszych sądach.” Serce, uczucie! —oto hasło, powtarzane na wszystkie tony przez młodych „Stürmerów“ i „Drängerów.” Z pogardą odzywa się Werther o ludziach podobnych Albertowi, którzy mierzą człowieka wedle kodexów prawnych. „Ach, wy rozsądni ludzie — wykrzyknąłem, śmiejąc się.—Namiętność! szal! obłąkanie! Stoicie tak obojętnie tak bez współczucia, wy ludzie moralni! Łajecie tego, który pije, pogardzacie nierozumnym, przechodzicie koło nich, jak kapłani i dziękujecie Bogu, jak Faryzeusz, że was nie zrobił takimi, jak jednego z „tych.” Nieraz upajałem się wrażeniami, a moje namiętności nigdy nie były dalekimi od obłąkania. Nie żałuję niczego, gdyż dawno już przyszedłem do przekonania, że wszystkich ludzi wyborowych, którzy czynią coś wielkiego, coś, co się zdaje niemożliwym, oddawna musiano okrzyknąć za pijanymi i obłąkanymi.” „Naród, który długie czasy ujarzmiony, chwytą za broń i dopomina się praw swoich u despotycznego władcy, nie jest słabym; dziewczyna, nie znająca innego świata, nad swoją miłość do kochanka, który ją opuszcza, postępuje zupełnie zgodnie z prawami natury, jeżeli rzuci się do wody.” „Natura nie znajduje innego wyjścia z labiryntu sił zagmatwanych i sprzecznych, a człowiek musi umrzeć.”

Ta teoria o prawie do życia i prawie wolnego niem rozporządzania ciągnie się przez cały utwór Goethego. Werther nie lęka się śmierci, gdyż ona pozwoli mu dowiedzieć się o tajemnicach, które w życiu były dlań zamkniętymi. Zasłone uchylić i wejść za nią: oto wszystko! I dlatego waha się i obawia? Czy dlatego, ponieważ nie wiemy, jak tam wygląda? — i że nie wraca się z tamtąd—i że to jest właściwością naszej duszy:

przeczuwać pomieszenie i ciemność tam, gdzie nie wiemy nic pewnego “ Bezpośrednio przed śmiercią pisze Werther do swej Karoliny: „Nie przerażam się chwycić za zimny, straszny kielich, z którego mam wypić śmierć! Tyś mi go podała, i ja nie wzdygam się. Wszystkie, wszystkie tak jest wszystkie nadzieje i pragnienia mojego życia spełnione! Tak zimno, tak zdrętwiała ręka, pukać do spiżowej furty śmierci.”

Jakkolwiek wyznania Goethego w *Wahrheit und Dichtung* bladami wydać się muszą, to pewna, że do namiętnej mowy Werthera przymieszał poeta swoją własną krew. Złamany na duchu, w swych najpiękniejszych nadziejach zawiedziony, nosił się z myślami samobójczymi. „Między pokaznym zbrojem broni—opowiada w powyższym pamiętniku—posiadałem także kosztowny, dobrze wyostrzony sztylet. Ten sztylet kładłem zawsze obok łóżka i, nim zgasilem światło, próbowałem, czyby mi się nie udało jego ostrza na kilka cali w piersi zatopić. Ponieważ to jednak nigdy nie udawało się, wysmiałem więc w końcu siebie samego, odrzuciłem wszystkie hypochondryjne mrzonki i żyć postanowiłem. Ażeby zaś życia z wesołością mógł używać, musiałem spełnić zadanie poetyckie, w któremby wszystko, co w tym ważnym punkcie czułem, myślałem i zgłębiałem, mogło być wypowiedzianem Zbierałem do tego żywioły, które już kilka lat we mnie wrzały, uzmysłowiłem sobie wypadki, które mię najbardziej przygnębiały i zatrzymywały; lecz nie chciało się wytworzyć: brakło mi zdarzenia, fabuły, które mogły myśli moje przyoblec. W tem dowiaduję się o śmierci Jerusalema i natychmiast po ogólnej pogłosce otrzymuję najdokładniejszy i najobszerniejszy opis zdarzenia; w jednej chwili znalazł się plan do „Werthera;“ całość ze wszystkich stron zebrana się i stała się konkretną materią, jak woda w naczyniu, która znajdując się już w punkcie zamarznięcia, po najlżejszem wzruszeniu natychmiast zamienia się w stały lód.” Goethe nie wspomina o rzeczywistych faktach, które może nurtowały w jego umyśle, a które odzwierciedlił w swoim romansie; nietylko bowiem tendencje młodego Jerusalema przychodzą w jego utworze do swego prawa: również i osobistość poety wiele rysów dostarczyła do postaci nie-szczęśliwego szaleńca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Sierpniu 1886 r.

Jan Lam.—Raczyńskiego portrety burmistrzów lwowskich. Towarzystwo Pedagogiczne. — Wystawa robót kobiecych. — Nauka rysunków w szkołach żeńskich. — Wycieczka politechników do Biecha i Krośna. — Nauka zręczności, czyli początki rzemiosł w szkole ludowej. — Powrót dzieci z kolonii wakacyjnych.

Śmierć Jana Lama uczyniła lukę w naszej publicystyce, która na razie przynajmniej, nikim zastąpić się nie da. Obdarzony wyższym talentem, posiadał on właściwy sobie rodzaj pisania, który pod formą humorystyczną, zabarwioną dowcipem, nieraz bardzo zjadliwym, nie szczędząc osób ni rzeczy, brał pod skalpel ostrej satyrę cały tok wypadków bieżącej chwili, bądź to w felietonach peryodycznie pod nazwą „kronik niedzielnych“ w tutejszym „Dzienniku Polskim“, regularnie od lat przeszło piętnastu co tydzień umieszczanych, bądź w powieściach, będących zwierciadłem społeczeństwa przywar społeczeństwa. Ten właśnie związek z wypadkami chwili obecnej stanowił jedną z głównych cech wszystkich pism Lama, których wyborną pod tym względem charakterystykę skreślił p. Jeske Choiński w „Karyerze Warszawskim.“ Jako humorystyczny powieściopisarz i felietonista zajmował sp.

Lam wpływowe stanowisko. Czerpiąc treść do swych „kronik“ z najważniejszych wypadków każdego ubiegłego tygodnia, był chciwie czytany, a im ważniejsza nasuwały się pod pióro wypadki, tem też pobudzały bardziej humor i dowcip „kronikarza“ i z czego wynikało, że i kroniki były rozmaicie mniej lub więcej zajmujące i ożywione. Kroniki niedzielne miały swoich żarliwych zwolenników, czekano na nie ciekawie i wiele osób czytywało „Dziennik“ jedynie dla kronik Lama. Publicystyka poważna, wymagająca ciągłego poświęcenia czasu i pracy, pochłaniająca całe niemal życie i wszystkie siły umysłowe swych adeptów, nie zgadzała się z usposobieniem Lama, jakoż pomimo, że się jej imał kilkakrotnie, powracał zawsze wkrótce do swego felietonu i do właściwego sobie humorystycznego omawiania spraw bieżących. Kroniki, podobnie jak i wszystkie swe powieści pisał doraźnie, szybko na chwilę przed oddaniem pod prasę, w czem dopomagała mu wielka biegłość pióra i talent potężny. Istotnie zdumiewającej potrzeba było zdolności pisarskiej, aby przez lat kilkanaście nie opuścić ani jednego tygodnia. Sam też przywiązywał wielką do tego wagę i wytrwałość w nieprzerwanem ich prowadzeniu, poczytywał nietylko za zasługę dziennikarsko-obywatelską, ale i za świadectwo niepomiernego talentu pisarskiego. Przed laty kilku powziął był myśl zbiorowego wydania wszystkich „kronik niedzielnych“ od pierwszego ukazania się ich w roku 1868. Sądząc z tego, jak były pożądlwie czytane swego czasu w „Dzienniku“ mniemał o zakładca, księgarz Richter, że wielotomowe to wydawnictwo będzie rocznie wyprzedzało. Nastąpił jednak zawód i skończyło się na wydaniu pierwszego tomu. Po upływie lat zapomniano o wypadkach, z którymi wiązała się treść każdej „kroniki“ najdowcipniejsze alluzje stały się przeto niezrozumiałymi dla ogółu czytelników i stracili temsamem cały swój powab pierwotny. Wybornie kreslone z natury postacie typowe w powieściach Lama pozostały w nich na zawsze, jako pomnik stanu społeczeństwa, z którego były wzięte, i jako świadectwo wielkiego daru spostrzegawczego i misternego rysunku, cieniowanego z humorem i artyzmem. Obok satyrycznego humoru, posiadają powieści Lama wiele uczucia i poetycznego wdzięku i przez te zalety zachowują zawsze swą wartość literacką, pozostając wiernym wizerunkiem portretowanego społeczeństwa. Lam zginął jak żołnierz na posterunku, nie porzucając pracy autorskiej, pomimo choroby, która przez trzy lata w ciężkiej, pomiędzy życiem a śmiercią, trzymała go niemoce, nie pozwalając nawet władać piórem, które zastępować musiał dyktowaniem. Trzy te lata pomimowolnego domowego więzienia, wpłynęły korzystnie na prace jego literackie, albowiem mało mając styczności ze światem, oddał się tem gorliwiej poważniejszemu studyum, w przedmiotach naukowych, ekonomicznych i historycznych, co też odbiło się w poważniejszym kierunku pism jego lat ostatnich, zwłaszcza w felietonach „Gazety lwowskiej“, w których poruszał wiele ważnych przedmiotów ogólniejszego znaczenia. Trzy te lata ciężkiej choroby należały w życiu jego do najobfitszych w plon literacki.

Lubownicy malarstwa śpieszą do pracowni p. Raczyńskiego oglądać wykonane przezeń dwa portrety byłych burmistrzów lwowskich z ostatnich czasów, Ziemiałkowskiego i s. p. Gnoińskiego. W gmachu sejmowym mamy portrety wszystkich od początku ery konstytucyjnej marszałków krajowych, pędzla Matejki, Rodakowskiego i Siemiradzkiego. Oddawna podnoszono myśl, że i Rada Miejska winnaaby się postarać o taką galerię swoich z tejże epoki burmistrzów, czyli jak obecnie urzędownie się nazywają, prezydentów miasta. Portrety wykonane obecnie przez Raczyńskiego są początkiem urzeczywistnienia tej myśli i przyczynią się zapewne do skłonienia Rady Miejskiej, aby powzięła w tej mierze stosowną uchwałę, zwłaszcza, że portrety te odpowiadają pod każdym względem swemu zadaniu, odznaczając się bogactwem techniki i wiernym podobieństwem, pomimo że artysta malował je tylko z pamięci i fotografii. Sp. Gnoiński przed-

stawiony jest w stroju, w jakim przyjmował Cesarza podczas ostatniej jego bytności we Lwowie w roku 1880, a Ziemiałkowski w czarnym, jaki zwykł był nosić podczas uroczystości, gdy był prezydentem miasta. Tylko wstęga orderu przewieszona przez piersi, pochodzi już z czasów ministerialnych.

Zjazd pedagogiczny z końcem roku szkolnego odbył się tym razem we Lwowie. Towarzystwo Pedagogiczne doznało ostatnimi czasy dotkliwego ciosu przez odłączenie się nauczycieli szkół wyższych, którzy w gronie swoim założyli drugą, taką samą instytucję, usprawiedliwiając krok ten swój tem, że sprawy tak dydaktyczne, jak administracyjne szkół średnich i wyższych, gimnazyów, uniwersytetów i politechniki, nie mają związku ze sprawami szkół ludowych. Prawda to, ale niemniej odłączenie się głównego zastępu intelligencji z grona towarzystwa musi wpłynąć niepomyślnie na jego rozwój i na szerokie koła pedagogiczne, w których ręku spoczywa kierunek oświaty ludu. Z usunięciem się nauczycieli szkół wyższych pozbawione zostało Towarzystwo Pedagogiczne potężnego żywiołu, który nadawał mu kierunek, rozszerzał zakres jego poglądów, utrzymywał na właściwej drodze i wielce przyczynił się tym sposobem do tego pomyślnego stanu i znaczenia, do jakiego doszło w przeciągu ostatnich lat dziesięciu. Obecnie, pozbawione najsilniejszej podstawy, będzie musiało przetrwać przez dłuższy czas następstwa tej zmiany, dopóki jej nie przeboli i nanowo się nie zorganizuje należycie. Nauczyciele szkół wyższych byliby spełnili piękny obowiązek obywatelski, gdyby się byli nie odłączali od młodszego braci nauczycielskiej, poprzestając na utworzeniu w samem łonie Towarzystwa odrębnej sekcji szkół wyższych, zajmującej się sprawami, nieobchodzącymi nauczycieli ludowych. Sprawy zaś ogólnego znaczenia, wiele przedmiotów naukowych, niesięgających sfery ścisłych umiejętności, można było, jak dotąd, wspólnie, z wielką korzyścią, omawiać. Zakres wymiany myśli mógł być w takim razie o wiele szerszy i pożyteczniejszy. Do rocznym zjazdom pedagogicznym zarzucano słusznie bardzo, już i bez tego, iż się zajmowały za wiele osobistymi sprawami i położeniem nauczycieli, a za mało kwestyami pedagogicznymi i naukowymi, mającymi być przedewszystkiem celem instytucji, a główną treścią jego obrad. Na zjeździe tegorocznym najważniejszym przedmiotem był wykład prof. Benoniego o metodzie nauczania geografii, bardzo zajmujący i z wielką wysłuchany uwagą, tudzież uchwała o potrzebie wymagania wyższej niż dotąd kwalifikacji naukowej od kandydatów do seminarium nauczycielskiego wstępujących.

Z końcem roku szkolnego urządziły wszystkie szkoły tutejsze żeńskie, każda u siebie, wystawę robót kobiecych. Najobfitszą była, rzecz naturalna, wystawa ośmioklasowej szkoły wydziałowej miejskiej. Wystawa ta była otwartą przez cały przeciąg zjazdu pedagogicznego, a nauczycielki z prowincyi na zjazd przybyły z wielką przyjemnością i pożytkiem studyowały tę wystawę, biorąc z niej wzór, jak należy prowadzić w szkole ludowej naukę ręcznych robót kobiecych. W szkołach lwowskich programat jej jest ułożony systematycznie i obejmuje postępowo od pierwszej do ósmej klasy te zwłaszcza roboty, które się wiążą z praktyką życia, i najbardziej są potrzebne i najwięcej korzyści przynieść mogą pracownikom. I tak usunięto z programatu dawniej głównie w szkołach żeńskich u nas pielęgnowane roboty na kanwie włóczkowe, jako nie użyteczne i nierozwijające smaku estetycznego, ale, przeciwnie, oswajające oko z potwornymi kształtami, i zabijające poczucie piękności w oku. Pozostawiono więc tylko w najniższych klasach krzyżkowe roboty na kanwie, aby wprawić dzieci w obliczanie oczek i obudzić poczucie pierwszych zasad symetrii. Natomiast wprowadzono już do czwartej klasy szycie białe wraz z cerowaniem i haft białym, doprowadzony w siódmej i ósmej klasie do wielkiej doskonałości, tak pod względem delikatności wykonania, jak piękności wzorów. Roboty drutowe, pończoszkowe, zajmowały znaczny dział wystawy, obfity był zbiór

haftów kolorowych bawełną i wełną na płótnie i innych materiałach. Tu znajdowały się w bogate wzory wyszywane koszule, fartuszki huculskie, kołnierze i t. p., ku czemu bogate źródło motywów zawierają wydawane przez dyrekcję tutejszego muzeum przemysłowego *Wzory haftów włościańskich*. Jest to nieprzebrane źródło motywów swojskich, stworzonych samorodną fantazją ludu naszego, branych z otaczającej go przyrody i tego wszystkiego, co mu pod zmysły spada, kształci wyobraźnię i estetyczne obudza popędy. Podczas, gdy wogóle kosmopolityzm owłada sztukę i zaciera coraz przemóżniej swojskie typy, pozbawiając utwory wyobraźni właściwej oryginalnej cechy, zbiór podobny wzorów, przechowywanych w typowej czystości motywa swojskie, jest nieocenionem dobrodziejstwem dla chcących zeń korzystać, czego dowodem są właśnie tego rodzaju roboty w naszych szkołach żeńskich. Tym sposobem haft rodzimy wyzwała się z pod obcych naleciałości i przechowuje się w swej pierwotnej czystości, tylko uszlachetniony, bardziej urozmaicony i coraz ozdobniejszy pod igłą umiejętnie prowadzoną. Obok szycia białego i haftów ażurowych oglądaliśmy na wystawie hafty atłaskiem na płótnie i jedwabiu hafty złotem i tym podobne roboty zbytkowne, pięknie przez uczennice klasy ósmej wykonane.

Podstawą tych wszystkich robót jest zawsze rysunek, a im bardziej znajomość jego posunięta, tem bardziej też smak się uszlachetnia i objawia w każdej ręcznej robocie. To też rysunek w tutejszych szkołach żeńskich, a zwłaszcza też w szkole wydziałowej, jest starannie i umiejętnie pielęgnowany, co znowu zawdzięcza się znajdującej przy tutejszym muzeum przemysłowym żeńskiej szkole modelowania i rysunków, dostarczającej zdolnych nauczycielek rysunku szkołom ludowym. Panna Gosyńska, udzielająca tej nauki w szkole wydziałowej posiada dobrą metodę, jest sama niepospolitą rysowniczką i należała do grona współpracownic wyżej wspomnianego wydawnictwa *Wzorów haftów włościańskich*. Widzieliśmy, pomiędzy innemi, na wystawie malowidła na drzewie, ludzako naśladowujące mozaikę w których zarówno się podziwialiśmy czystość linii, jak i smak dobry w doborze wzorów. Były tam okładki do albumów, ozdobne bądź rozmaitem kwieciami, bądź ornamentem arabeskowym, tacki na bilety, rozmaite skrzyneczki, pudełka i inne podobne przedmioty, przeznaczone na sprzedaż na dochód szkoły, które też jednej chwili zaraz pierwszego dnia rozkupiono.

Z końcem roku szkolnego odbyli słuchacze tutejszej politechniki wydziału architektonicznego pod przewodnictwem prof. Zacharyewicza artystyczno-naukową wycieczkę, do Biecha i Krosna, dla zdjęcia rysunku starożytnych kościołów tamtejszych. Wycieczki te należą do programatu naukowego, a wydatki na nie ponosi częściowo fundusz oświaty publicznej. Corocznie po zamknięciu kursów szkolnych, udają się słuchacze politechniki wszystkich wydziałów z professorami na wycieczkę po kraju lub zagranicę, dla uzupełnienia praktycznego wiadomości, powziętych teoretycznie w ciągu roku szkolnego. Chemicy i mechanicy zwiedzają najznakomitsze fabryki zagraniczne, słuchacze inżynierii mierzą pola, przypatrują się budowie mostów i tunelów na liniach kolei żelaznych, i badają najcelniejsze roboty tego rodzaju, jako ilustracją teorii w szkole zaczerpniętej. Tegoroczna wycieczka prof. Zacharyewicza powiodła się wybornie, tak pod względem plonu naukowego, jako też zadowolenia uczestników tejże. W Biechu, najdalszym punkcie wycieczki, zdjęto szczegółowe plany i pomiary starożytnego gotyckiego tamtejszego kościoła. Z powrotem zaś plany trzech starożytnych kościołów w Krośnie, pomiędzy którymi jeden, także gotycki, mieszczący groby Oświęcimów, wraz z kaplicą w stylu barokowym, gdzie się groby te znajdują. Prof. Zacharyewicz powziął już przed laty myśl przechowania tym sposobem najznakomitszych architektonicznych zabytków, znajdujących się u nas, zapomocą corocznych wycieczek z uczniami, które dla nich przynoszą naukę, a zarazem wzbogacają literaturę naszą archeologiczną;

wydaje te pod jego kierunkiem przez uczniów politechniki zdejmowane widoki i plany starożytnych budowli zeszytami, zawierającymi plon corocznych wycieczek, z czego tworzy się album, które pozostanie ważnem źródłem dla badacza dziejów sztuki i architektury swojskiej u nas, źródłem równie cennem pod względem estetyki, jak archeologii.

W programacie naukowym szkół ludowych ma być zaprowadzona tak zwana nauka *zręczności* będąca właściwie początkową nauką rzemiosła, mogącą uczniowi szkoły ludowej bardzo się przydać z czasem i ułatwić mu drogę do oddania się rzemiosłu. Nauka *zręczności* nie jest jeszcze wprawdzie nauką rzemiosła, ale przysposabia do niej. W Szwecyi mianowicie stanowi ona ważny dział nauki w szkołach ludowych i słusznie, że na nią i u nas obecnie zwrócono uwagę. Dyrektor szkoły ludowej w Sokalu, prof. Siedmiograj, odbył podróż umyślnie w celu oznajomienia się tam na miejscu z zakresem i sposobem udzielania tej nauki i zdał sprawę ze swoich w tym względzie poczynionych za granicą spostrzeżeń na zeszłorocznym zjeździe pedagogicznym w Przemyslu; obecnie zaś z polecenia władzy szkolnej, otworzył na czas feryi szkolnych kurs tejże nauki w Sokalu dla nauczycieli szkół ludowych tamtejszego okręgu. Wszyscy, z małym wyjątkiem tych, którym obowiązek służby wojskowej nie dozwolił właśnie w tej porze korzystać z kursu, pospieszili ochoczo na naukę i pracowali po dziesięć godzin dziennie przez cały miesiąc dłużej, pilnikami, siekierą, heblem itd., nie tylko dla zaznajomienia się dokładnie z metodą tej nowej dla nich nauki i nabrania *zręczności* w tem czego naprzyszłość w szkole nauczać mają; ale aby przysposobić sobie także zbiór wzorów, nakształt zbioru szkoły sokalskiej, mających służyć do nauki szkolnej. Wykonali więc przez przeciąg kursu przeszło 1.200 rozmaitych przedmiotów własnoręcznie, z dziedziny wszelkich rzemiosł, mogących się przydać w powszednim życiu włościanina, zwłaszcza, ze stolarszczyzny i tokarstwa. Obok nauki praktycznej miewał prof. Siedmiograj co tydzień wykłady teoretyczne, objaśniające jej cel i właściwy kierunek.

Pierwsza serya wysłanych na kolonie wakacyjne chłopców i dziewcząt wróciła temi dniami, aby ustąpić miejsca seryi drugiej. Najpierw wrócili chłopcy, w parę dni później dziewczęta. Jeden i drugi dzień były radosną uroczystością dla kilkudziesięciu rodzin lwowskich. Na placu cłowym, przy stanowisku tramwajów, oczekiwali przyjazdu malców nie tylko rodzice i krewni, ale natłok publiczności, chcącej być świadkiem przywitania i przekonać się naocznie o wpływie, jaki pobyt w koloniach wywarł na zdrowie i humor chłopców i dziewczątek. Rumiane twarzyczki, opromienione wesołością, żwawości i czerstwością wszystkich malców były najlepszym dowodem, jak im pobyt wiejski w górach posłużył i jak zbawienną była myśl utworzenia kolonii wakacyjnych przed parą laty przez kilku tutejszych pedagogów i filantropów. Znikły chorobliwe fizjognomie, cechujące po większej części dzieci ubogie, chowane w mieście, najczęściej w warunkach bardzo niehygienicznych, a za to każdemu z kolonistów i kolonistek przybyło siły i wagi, będącej oznaką przybytku zdrowia. Jakież nie da się opisać wyraz radości rodziców na widok tej rzeźkości dziatwy, uszczęśliwionej wzajemnie wspomnieniem chwil wesołych spędzonych w koloniach.

Kolonia lecznicza w Rymanowie, utworzona w roku bieżącym, leczy się i zarazem bawi doskonale, głównie za pobudką i staraniem właścicielki Rymanowa hr. Potockiej, głośnej u nas od dawna z swej filantropii i zacności obywatelskiej.

Władysław Zwadzki.

BYLE NIE PANNA.

(Dalszy ciąg).

— Ale czemuż która nie robi na mnie takiego wrażenia, żebym przestał być odpychającym, a zapragnął, raz spojrzawszy, spojrzeć po raz drugi i przemówić. Znajdź mi na to odpowiedź, co?... —

— I owszem znalazłem — rzekł Stefan. — Wszak wiemy, że kobiety mają słabą stronę, która się nazywa miłością własną. Ty całem zachowaniem się swoim obrazasz tę miłość własną u panien, one ci płacą pięknem za nadobne i tym sposobem, jak ty im tak one tobie przedstawiają się w najniekorzystniejszym świetle. A gdyby nawet która okazała ci jaką uprzejmość, tobyś to niezawodnie położył na karb zalotności i narzucania się.

— No prawda! Widzisz tedy sam, Stefanie kochany; że jest to położenie bez wyjścia i że fatalizm jakiś cięży nademną. Więc jakkolwiek lubię towarzystwo poci pięknej i stęskniony jestem za życiem rodzinnem, marzę o niem i czuję, żem stworzony do niego, zrezygnowałem się na to, że chyba zostanę starym kawalerem!

— No, no, no, tak źle nie będzie! Obracasz się w kole błędnej jakiejś teorii, ale mam nadzieję, że na szczęście twoje znajdzie się jeszcze kobieta, która ci tę teorię nietylko obali, ale zetrze na miazgę. Chcesz się ze mną założyć?

— Z całego serca! stawię ci konia z rzędem! Ta zaś, która dokaże ze mną takiego cudu, będzie mnie miała pod stopami swojemu! Lecz znam świat — i wielki i mały, i miastowy i prowincjonalny, i niestety! niestety!...

— O, to już naprawdę groźny stan patologiczny, skoro wpadasz w sentymentalność! — zawołał Stefan. — Ale bądź spokojny, już ja ci tu obmyślę kuracyę, nie byłbym chyba twoim przyjacielem, gdybym ci nie wybił z głowy tej twojej teorii. Poznasz zresztą moją żonę, poznasz jej... jej... I cóżem to chciał powiedzieć?... Poznasz jej wszystkie zalety, przypatrzysz się naszemu pożyciu domowemu i przekonasz się, że losy nie takie zdradliwe, jak powiadasz. Bo co do mnie, szczerze sobie wiesz, żem nie miał twego usposobienia i nie zawałał się w wyborze.

Gwarzyli jeszcze czas jakiś. Stefan opowiadał o swoim szczęściu domowem. Maryan przysłuchiwał się z wielkim zajęciem, kiedy przez niedomknięte drzwi jadalnego pokoju, który przylegał do kancelaryi, dało się słyszeć brzękanie filiżanek, syczenie samowaru i krzątanie się świadczące o przygotowaniu do podwieczorku. Po chwili zaszeleszczała suknia niewieścia i w progu ukazał się służący z oznajmieniem: — Proszę panów na herbatę.

— Chodźmy — rzekł Stefan — bardzo ciekawo, jak ci się też spodoba moja żona.

— Rozumie się, że będę zachwycony, tak, jak zwykle młodą mężatką — odparł Maryan. — Wszak wiesz, że taka sympatya, to cała moja pociecha, i jakby prawo odwetu.

Wzięli się pod ręce i weszli do jadalnej sali, której drzwi szklane stały otworem na ogród. Widzieć było przez nie parter kwiatowy zamknięty krzewami bzu i kwitnącego jaśminu, dalej ciemną aleję lipową, trawniki zielone, słowem: całą większą sielankę. Maryan, na samym wstępie mile uderzony tą poetyczną panoramą, jednym

rzutem oka objął zarazem na środku pokoju stół okrągły zastawiony elegancką zastawą i różnemi specyałami wiejskimi, a przy stole, koło samowara, młodą kobietę, średniego wzrostu i wdzięcznej postawy. Rozumie się, że odrazu domyślił się w niej pani Stefanowej.

Ubrana była w suknię muslinową popielatą, ani za jasną, ani za ciemną, a u rąk i szyi miała sute zwoje białych koronek, na których polegały zwykle cały sekret świeżości i lekkości stroju kobiecego. Do ciemnych włosów, zręcznie, acz nie pretensjonalnie ułożonych, była wpięta za uszkiem lewem rozkwitająca róża herbaciana, której delikatna barwa przypadała do matowej białości twarzy niezmaczonej obrzydliwym pudrem. Maryan odrazu pochwycił wszystkie te szczegóły i jakkolwiek z góry zapowiedział przyjacielowi, że będzie zachwycony jego żoną, znalazł ją jeszcze bardziej uroczą, aniżeli sobie wyobrażał. Figurka jej i ułożenie i delikatne rysy twarzy uderzyły go, jako wyjątkowo harmonijna całość, nadewszystko zaś podobało mu się rozumne spojrzenie jej ciemno-niebieskich żywych oczu i wdzięczny wyraz ust. Tylko, że nie wydała mu się tak dziecinnie młodzieuchną, ani też tak posągowo piękną, jak opowiadano u Zgórków, owszem była przecudna całą pełnią wdzięku kobiecego i tą nieopisaną duchową pięknoscią, która polega na wyrazistej grze fizioonomii. A przytem jakże się malowniczo przedstawiała w roli gospośi, przy tym stole i przy samowarze! Słowem, była taką, jaką wybrałby za żonę dla siebie, gdyby mógł. I Maryan od pierwszego spojrzenia powziął ku niej ową *najczulszą sympatyę*, o której przed chwilą opowiadał Stefanowi.

— Anieliu — mówił tymczasem Stefan — mój przyjaciel od serca i kolega Maryan, którego polecam całej twej uprzejmości...

Co za śliczne imię: *Anieliu!* i jakby dla niestworzone, gdybym to ja mógł żonie mojej mówić także: *Anieliu!*... myślał sobie, Maryan, wymieniając ukłony z panią. I podczas gdy Stefan miał jeszcze coś mówić, zapewne, aby zagaic rozmowę, wpadł służący z pośpiechem.

— Proszę pana — rzekł — cieśla przysłał chłopaka oznajmić, że cała robota stanie, jeżeli pan zaraz nie przyjdzie; pono kazał pan czekać na siebie.

— Ach prawda! — zawołał Stefan, gwałtownie odgarniając w tył całą czuprynę, przez co mu się cała głowa zmierzwiła — na śmierć zapomniałem o tem! Maryanie kochany, daruj! Buduję nową oficynę. Anieliu, częstuj gościa i nie czekajcie na mnie moi państwo, za chwilę będę wam służył z powrotem.

I pędem błyskawicy wybiegł z pokoju.

Pani się uśmiechnęła, spojrzawszy za wychodzącym, wskazała Maryanowi stółek i sama usiadła. Położenie dość było zabawne. Maryan milczał, bo przecieć do gospodyni domu należało pierwsze słowo. Ciekawy był od czego rozpocząć rozmowę i jak mu zabrzmi w uchu głos jej, który jak sobie wyobrażał, musiał być wyjątkowo dźwięcznym. Ona zaś miała minę zakłopotaną, jakkolwiek nie trwało to nad jedno mgnienie oka.

— Co pan pozwoli? Poziomek pierwszej, czy herbaty? — spytała zwracając się gościa.

W istocie głos miała giętki i melodyjny, a Maryan był już oczarowany i głosem i tonem. Jaka w niej miła prostota! myślał sobie, panna rozpoczęłaby od krygów i od tego, że *piękną dziś mamy pogodę*... A ona najnaturalniej w świecie znalazła daleko właściwszy punkt wyjścia wobec nieznanego. Jak to zaraz znać było takt męzkatki!

— Prosiłbym o poziomki — odparł z najwyższą uprzejmością — jest to dla mnie wielki specjał, bom ich nie kosztował w tym roku. W naszych stronach jeszcze się nie pokazały, widać, że tu u państwa lepsze są klimatyczne warunki.

— O, i my ich jeszcze nie mamy w lesie — odparła pani — są to ogrodowe poziomki, ale przekonasz się pan, że co do zapachu i co do smaku, nie zgola nie ustępują leśnym.

Pierwsze lody były więc przełamane, a dalsza rozmowa, z której się pokazało, że pani kochała się w ogrodnictwie, poszła jak z płatka. Maryan wesoly, i ożywiony, przedstawiał się w jak najkorzystniejszym świetle, pani była uprzejma dla gościa: po chwili tak gwarzyli z sobą swobodnie, jakgdyby się znali przynajmniej od lat dziesięciu.

— Dziwnie się czasem składa — mówiła pani — Wczoraj Stefan wpadłszy na ulubiony temat szkolnych czasów, cały wieczór opowiadał o kolegach swoich, a mianowicie o panu, nie przeczuwając bynajmniej, że dzisiaj powita pana u siebie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat.

DZIEŁA JANA LAMA

Wydanie zbiorowe w pięciu tomach, zawierające powieści:

Wielki świat Capowic. — Koroniarz w Galicyi. — Idealiści. — Dziwne karyery. — Głowy do pozłoty.

Cena egzemplarza w pięciu tomach Rs. 6, z przesyłką pocztą Rs. 6 kop. 50.

Do nabycia w księgarni M. Glücksberga, ulica Królewska Nr 5, oraz we wszystkich innych.

TREŚĆ. Franciszek Liszt, (Wspomnienie pośmiertne). — Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie, (dalszy ciąg). — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Dziady" a „Warther", przez Edwarda Schnobricha. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Byle nie panna, nowella, (dalszy ciąg), przez Stefanią Ulanowską.

Dodatek obejmuje: Arkusz 14-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat. — 33 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Августа 1886 года.